



Sreb-

rzysta

śmierć

Anna

Kłodzińska

Anna Kłodzińska

SREBRZYSTA ŚMIERĆ

Kryminał z myszką – Tom 52

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-46-1

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1959, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Kapitan Szczęsny z Komendy Miasta MO wracał późnym, kwietniowym wieczorem z Jeziorny do Warszawy. Mgła była tak gęsta, że światło reflektora z trudem przebijało przez nią, jak przez brudnożółtą watę. Jawa 350 podskakiwała na wybojach i zataczała się niebezpiecznie na śliskich, błotnistych zakrętach.

Kapitan odchylił rękaw skórzanej kurtki i spojrzął na fosforyzujące cyferki zegarka. Dochodziła dziewiąta. – Późno – mruknął do siebie. Od Wilanowa szosa była pusta. Gwiżdżąc refren jakiejś piosenki, który uparcie powracał mu na myśl, zwiększył trochę szybkość.

To, co się stało potem, było sprawą zaledwie kilku sekund. Czarny i jak mu się zdawało, ogromny samochód osobowy przemknął tuż koło niego z szumem i piskiem hamulców, potrącając go z taką siłą, że zanim zorientował się, co właściwie zaszło, leżał już razem z motocyklem w przydrożnym rowie.

– Ach, ty cholero! – krzyknął, wyłaząc spod motoru, który mimo upadku nie przestał pracować. Klął tak chyba z minutę. Sprawilo mu to ulgę i dało jedyną możliwość rewanżu. Pościg bowiem za samochodem, który znikł dawno na zakręcie, w dodatku w taką mgłę – byłby szaleństwem. Biały Kapitan lubił szaleństwa, o ile miały choćby minimalną szansę powodzenia. Tutaj jednak szans nie było.

Podniósł jawę i stwierdziwszy, że prócz lekkiego wygięcia rury wydechowej nie poniosła szwanku, zajął się własną osobą. Na szczęście był tylko od stóp do głów pokryty czarną, błotnistą mazią.

W takim stanie trudno było jednak pokazać się w Warszawie, nawet po dziewiątej wieczorem. Wyciągnął więc z torby kilka szmatek, wytarł twarz i ręce, po czym wyłączył silnik i zapaliwszy latarkę elektryczną, zatoczył świetlny krąg dokoła.

Mimo mgły wiedział, że nie minął jeszcze Sadyby. Gdzieś tu blisko wybudowano tej zimy kilkanaście domków jednorodzinnych – takich z maleńkim ogródkiem i garażem, marzenie przeciętnego warszawiaka, który lubi łączyć przedsmak wsi z wielkomięjskimi wygodami.

Kapitan rozglądał się uważnie. Mgła gęstniała coraz bardziej i przypominała zawieszoną w powietrzu zupę grochową. Nie było mowy, aby dostrzec w niej któryś z domków, chyba że natrafi się na niego, macając dokoła kijem jak ślepiec.

Ujął jawę za kierownicę i postąpił parę kroków naprzód. Nagle poczuł, że przednie koło opiera się o coś twardego. Wyciągnął rękę i natrafił na metalową siatkę jakiegoś ogrodzenia. Przesuwając palcami po uginających się prętach, wykręcił motocykl w prawo i poprowadził go wzdłuż płotu aż do furki. Była otwarta. Oparł o nią jawę i zawahał się. Zostawić? Chyba w tej „grochówce” nikt nie będzie się pętał po drogach. Na wszelki wypadek wciągnął swój wehikuł parę metrów dalej, do ogródka, i postawił go przy murze.

Do domku wchodziło się po dwóch schodkach. Okna parteru były ciemne. Widocznie mieszkańcy spali już albo wyszli.

Stał przez chwilę niezdecydowany, z ręką wyciągniętą w stronę, gdzie powinien być dzwonek. W końcu spojrzął jeszcze raz w ciemne okna i zszedłszy ze schodków, okrążył dom dokoła. Z tyłu było z pewnością drugie wejście, kuchenne; może tam znajdzie kogoś, kto nie śpi.

Spoza uchylonych drzwi biła na podwórze jasna, szeroka smuga światła. Kapitan wszedł do maleńkiej sionki. Na lewo była kuchnia. Zobaczył białe kafelkowe ściany, nowiutki zlew, stertę brudnych naczyń na stole i płomyk gazowy, buzujący pod imbrykiem. Chrząknął, a że nikt na to nie zareagował, zajrzał głębiej. Kuchnia była pusta.

Na prawo od wejścia biało lakierowane schody wyściełane czerwonym chodnikiem prowadziły w górę, na piętro. Przyjemny domek – pomyślał. A potem dostrzegł czarną, błotnistą plamę na podłodze sionki. Trudno byłoby zaprzeczyć, że pojawiła się ona tutaj wraz z jego wejściem...

Biały Kapitan przyjrzał się plamie ze stoickim spokojem i wzruszył ramionami. Trudno. Jak będą bardzo się gniewać, to wymyję. Czekał jeszcze chwilę, po czym zastukał energicznie w drzwi obok schodów. Musiały przecież prowadzić do jakiegoś pokoju, a oświetlona kuchnia wskazywała, że właściciele jednak nie śpią.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Na progu stanął wysoki, lekko przygarbiony mężczyzna w granatowym szlafroku przewiązanym jedwabnym sznurem. Twarz jego, bardzo blada, była gniewna.

– Tyle razy mówi... – zaczął i urwał. Na widok zabłoconej postaci obcego człowieka gniew jego zmienił się w zdumienie i coś na kształt strachu. Cofnął się i milczał, jakby nie wiedząc, co powiedzieć.

– Bardzo przepraszam – zaczął Szczęsny – przejeżdżałem tędy drogą i wywróciłem się razem z motocyklem. Czy nie byłby pan tak uprzejmy i umożliwił mi umycie się? Może po prostu da mi pan jakąś miskę z wodą i kawałek mydła, a ja to zrobię w podwórzu, żeby nie zachlapać mieszkania. I tak już... – z zażenowaniem spojrzał na zabłoconą podłogę.

Wysoki mężczyzna wciąż milczał, patrząc na mówiącego; zdawało się, że nie rozumie jego słów.

– Gdzie gosposia była? – odezwał się nagle, przenosząc wzrok poza oficera. – Dlaczego gosposia nie pilnuje mieszkania?

Głos miał chłodny, beznamiętny i przykry. Cedził słowa przez zęby, ledwie poruszając wargami.

Kapitan odwrócił się. Za nim stała stara kobieta w szarym fartuchu. Jej niewielkie, spłowiałe oczy biegały po twarzach obu mężczyzn; dojrzała brudną podłogę i załamała ręce typowym gestem wiejskiej baby.

– Świeżo umyta! – szepnęła ze zgrozą. – Skaranie boskie z tymi...

Obrzuciła kapitana złym spojrzeniem.

– Gdzie gosposia była? – powtórzył przygarbiony pan.

– W podwórzu. Królikom wodę nosiłam.

– Tak późno?

– No przecie pan ciągiem wołał to o herbatę, to o kawę dla tych tam... – poprawiła się – dla tych państwa.

Szczęsny stał w milczeniu, czekając cierpliwie, aż skończą rozmowę. Jego czarne, spokojne, oczy lustrowały tymczasem wewnątrz obszernego pokoju. Znajdowały się w nim jeszcze cztery osoby. Zdziwiło go trochę, że żadna z nich nie wstała z miejsca i nie podeszła, choćby z prostej ciekawości, aby obejrzeć obcego przybysza. Instykt wywiadowcy i oficera milicji obudził się w nim nagle z drzemki. Coś mu się w tym domu nie podobało. Zaczął bezceremonialnie przyglądać się jego mieszkańcom.

Najbliżej drzwi, na niskiej szerokiej amerykańce siedziało dwoje ludzi. Młoda czarnowłosa kobieta o ciemnych, dziwnie tragicznych oczach i lekko zaróżowionej twarzy oraz rosły, dobrze zbudowany mężczyzna z charakterystyczną blizną na lewym policzku. Oboje patrzyli na niego raczej obojętnie, kobieta z pewnym zniecierpliwieniem. Szczęsnemu wydało się, że czeka na coś, w czym jego nagła wizyta przeszkodziła.

Przed amerykańką stał mały, okrągły stolik, na który śpiesznie widać, bo krzywo i niedbale, narzucono serwetę.

Po drugiej stronie stolika, przy kominku, chuda starsza pani w okularach, wtulona w głęboki fotel, zdawała się drzemać. Był jeszcze zupełnie młody, może dwudziestoletni, bardzo ładny chłopiec o twarzy zawodowego aktora czy tancerza. Ten najwyraźniej

denerwował się, a napotkawszy wzrok Szczęsnego cofnął się z fotelem w głąb pokoju, ukrywając twarz w cieniu.

Wysoki pan w szlafroku, widocznie właściciel domu, odwrócił się nagle w stronę oficera.

– Po co pan tu przyszedł?

– Przecież mówiłem – odparł Szczęsny z lekkim zdziwieniem – i jeszcze raz przepraszam za najście o tak późnej porze. Chciałbym tylko prosić o trochę wody. Nie mogę przecież w takim stanie jechać przez miasto. Widzi pan, jaki jestem obłocony...

Mówiąc to, zastanowił się przez chwilę, czy tamci mogą zorientować się, że mają przed sobą oficera milicji, i doszedł do wniosku, że nie. Pod zamszową kurtką nie było widać munduru, skórzana pilotka wskazywała raczej na cywila, a granatowe spodnie były w okropny sposób zachlapane błotem.

Fakt, że wygląda jak cywil, był Szczęsnemu w tej chwili raczej na rękę.

– Gdzie pan zostawił motocykl? – zapytał pan w szlafroku.

– Niedaleko, parę kroków stąd. Czy to spokojne osiedle?

– Gosposiu, proszę dać panu wody i jakiś ręcznik – powiedział mężczyzna, nie zwracając uwagi na zapytanie.

– Ale tam, zaraz ręcznik! – burknęła. – Szmataę dam. Jak ukradnie, nie będzie straty.

Kapitan przygryzł wargi.

– W takim razie... czy w podwórzu jest studnia? – zapytał ostro.

– Nie ma. Dwa domy dalej, w lewo.

– Nonsens – przerwał wysoki. – Dostanie pan to, co powiedziałem, a gospościa niech nie zmienia moich poleceń. Proszę – odsunął się trochę – niech pan przejdzie do kuchni.

– Po gazecie! – krzyknęła stara, rozrzucając na podłodze kilka numerów „Życia Warszawy”.

Szczęsny wszedł prawie na palcach, starając się nie dotknąć niedawno widać malowanych krzeseł i stołu. Kuchnia była duża, w głębi widniała wnęka, a w niej łóżko zasłane wysoko śnieżnobiałymi poduszkami.

Stara kobieta, czując na sobie wzrok wciąż stojącego w sionce pana domu, podała kapitanowi, co jej kazano. Obserwowała nieżyczliwie, jak się mył i ostrożnie ścierał błoto przyschnięte do kurtki. Gdy zdjął skórzaną pilotkę, jasne, prawie białe włosy rozsypały mu się nad opalonym czołem.

– Myślałem, że pan jest brunetem – zauważył przygarbiony mężczyzna, przypatrując mu się badawczo.

Szczęsny uśmiechnął się przelotnie.

– O, skaleczył się pan w rękę! – dodał tamten pokazując krew sączącą się z przeciętej dłoni.

– Tak, rzeczywiście... nie zauważyłem – odparł kapitan. – Nic wielkiego, tylko skóra przecięta.

– Trzeba jednak zawiązać, bo może pan zanieczyścić ranę i nastąpi zakażenie. Zaraz przyniosę bandaż i jodynę.

– Ależ nie, proszę pana! – Szczęsny przytrzymał go za rękę. – Na mnie goi się jak na psie. Nie trzeba.

– Niech pan przewiąże chusteczką – usłyszał miękki, kobiecy głos. Obok wysokiego pana stała teraz czarnowłosa kobieta o tragicznych oczach. W ręku miała zwiniętą białą chusteczkę. Przyłożyła ją do skaleczonej dłoni oficera i zawiązawszy końce, spojrzała na niego z półuśmiechem.

– Gotowe – szepnęła.

Zdziwiony, przyglądał się przez chwilę jej oczom. Miała ogromne, nienaturalnie rozszerzone źrenice. Atropina? – pomyślał. – Co oni tam robili w tym pokoju?

– Idź stąd, Jola! – rzucił mężczyzna w szlafroku.
– Och, niedobrze mi! – wyjąkała nagle, ściskając palcami skronie. – I głowa boli.
– Idź stąd! – powtórzył. W głosie jego czaiła się groźba.
– Może dać pani proszek? – zapytał Szczęsny, sięgając do kieszeni. Nosił zwykle przy sobie tabletki „z krzyżykiem”.
– Proszek? – zawołali oboje niemal jednocześnie. Ton, jakim wymówili to proste słowo, był tak zastanawiający, że oficer zawahał się i popatrzał na nich uważnie.
– Skarżyła się pani na ból głowy, więc... – wyjął z kieszeni wąskie tekturowe pudełeczko.
– Ach nie, dziękuję. – Oczy kobiety jakby przygasły, twarz zubożała. Wysoki pan zmarszczył brwi.
– Odejdiesz teraz, rozumiesz? – syknął, ujmując ją silnie pod ramię. Gdy znikali w drzwiach pokoju, odwrócił głowę i mruknął: – Do widzenia panu!
– Do widzenia i dziękuję za pomoc – odparł kapitan.
Odłożył na krzesło wilgotny ręcznik i pożegnawszy zgryźliwą gosposię, wyszedł na podwórze. Nie od razu jednak skierował się w stronę, gdzie zostawił motocykl. Ostrożnie stąpając, podszedł do frontowego wejścia i zatrzymał się pod oknami.
Poprzednio nie zauważył, że przez szczelnie dopasowane zasłony przebijał jednak słaby, ledwie widoczny odblask światła. Zaciemnienie niczym za okupacji – pomyślał, wruszając ramionami. – Trzeba będzie kiedyś bliżej przypatrzeć się temu domowi.
Zainteresowało go milczenie panujące w pokoju. Cienkie ściany z jakichś prefabrykatów, prawdopodobnie żużlobetonu, nie stanowiły izolacji dla dźwięków. Usłyszał czyjeś chrząknięcie, skrzypienie fotela, potem lekki brzęk, jakby ktoś przesunął po stole szklany przedmiot. Nikt jednak nie rozmawiał. Czyżby zorientowali się, że nie odszedł i czatuje pod oknami?
Stał jeszcze chwilę, nad czymś rozmyślając, po czym gwizdnął dwukrotnie. Niemal natychmiast usłyszał szcęk otwieranego okna i odskoczył w bok, kryjąc się za murem. Czyjaś głowa wychyliła się poza parapet, usiłując widocznie przebić wzrokiem żółty kożuch mgły.
– Nikogo nie ma, zdawało ci się – powiedział młody męski głos, z pewnością nienależący do gospodarza domu. – Straszna mgła, nic nie widać.
– Nie słyszałem warkotu motoru – doleciało z głębi pokoju. To mówił przygarbiony pan w szlafroku.
– Na pewno już odjechał. – Był to jeszcze inny głos męski, mocny, ciepły baryton.
– Na miłość boską, zamknijcie to okno! Panie Jureczku! – zawołała jedna z kobiet.
– Może prowadzi motocykl, bo ślisko – rzucił młody głos. – Czy mam zobaczyć?
– Nie trzeba, zwracanie głowy – odparł baryton. – Inżynier ma zawsze jakieś nieuzasadnione...
Reszta zdania utonęła w szczęku zamykanego okna.
– A więc właściciel domu jest inżynierem – powiedział do siebie Biały Kapitan. – Jest to niewątpliwie ważny szczegół z biografii nieznanego pana w szlafroku.
Podprowadził motocykl dobre kilkadziesiąt metrów dalej, aż dojrzał zakręt i szosę; wtedy dopiero zapuścił motor.
Czuł się jakoś dziwnie podniecony. Nie odczuwał w tej chwili zmęczenia ani głodu, choć nie jadł od wczesnego południa. Dopinając guzik przy kurtce, bo przejęło go nagłe zimno, zauważył, że ręce drżą mu jak w febrze. Czyżby grypa? – zdumiał się. Jaszczce godzinę temu czuł się zupełnie normalnie. Raptownie zacisnął palce na kierownicy, doprowadzając motor do równowagi; przed sekundą bowiem zatoczył się z jednego końca szosy na drugi, niczym pijak. Powodem tego był nagły zawrót głowy, tak silny, że Szczęsnemu pociemniało w oczach.

Przyhamował i jechał bardzo wolno, daremnie próbując powstrzymać drzenie mięśni całego ciała. Zrozumiał, że to nie grypa, że dzieje się z nim coś dziwnego, czego jeszcze nigdy nie doświadczał. Przyszło mu na myśl, że zatrul się czymś – ale czym? Obiad jadł w domu komendanta posterunku w Jeziornie; nie było to nic takiego, czego by jego strusi żołądek nie mógł strawić. Jakaś zupa jarzynowa, kiełbasa na gorąco... może to ta kiełbasa?

Serce biło mu nierówno, o wiele szybciej niż zwykle. W tym wszystkim jednak najbardziej dziwiło go podniecenie nerwowe i jakiś niepokój. Miał ochotę gnać przed siebie, gdzie oczy poniosą, lewą rękę raz po raz odrywał od kierownicy, jakby nie mogąc znaleźć dla niej odpowiedniego miejsca.

Nagle wzrok jego padł na skaleczoną dłoń. Była przedtem zabrudzona błotem. Może tak właśnie wyglądają początki tęcza? Usiłował przypomnieć sobie wszystko, czego uczył się o tęczu w okresie swych dwuletnich studiów medycznych, ale pamięć – zwykle niezawodna – teraz odmówiła mu posłuszeństwa. Płątały się w niej jakieś obrazy, kolory, twarze... powietrze wibrowało szumem setek motorów... raptem zachciało mu się śmiać – tak zabawnie wyglądały uliczne latarnie.

Zaciał zęby. Wjeżdżał już na Belwederską, był prawie w centrum Warszawy; co będzie, jak ktoś z Komendy Ruchu MO zatrzyma go w tym stanie? Pomyślał, że pijany.

Przygryzł mocno dolną wargę, aż poczuł metaliczny smak krwi. Ból otrzeźwił go na tyle, że prawidłowo wjechał w Aleje Ujazdowskie, minął trolejbus i dwie ciężarówki. W Piękną skręcał jednak tak niepewnie, że stojący na rogu milicjant przyjrzał mu się podejrzliwie. Na szczęście był to znajomy kapral. Szczęsny przywołał go niecierpliwym ruchem głowy.

– Co wam jest, kapitanie? – zdziwił się tamten, widząc przewiazaną rękę i zabłocone spodnie. – Mielicie krakwę?

– Tak. Diabelnie ślisko – odparł Biały Kapitan, szczękając zębami. – Poza tym... mam grypę. Weźcie motor – albo nie, zaraz... ja mieszkam tu, na rogu...

– Pomogę wam. Przesuńcie się do tyłu, ja poprowadzę. Złapcie mnie za pas.

– Cholera! – zaklął Szczęsny, złażąc z siodełka. Znów zakreśliło mu się w głowie, o mało nie upadł. Na ustach kaprala dostrzegł błakający się dziwny uśmiezek. – Myślicie, że jestem pijany, co?

– Każdemu może się zdarzyć – odparł podoficer wymijająco. – Albo to milicjant nie człowiek?

– Idź do diabła! – fuknął gniewnie kapitan, sadowiąc się na tylnym siedzeniu. – Jedźmy już.

Z pomocą kaprala wtaszczył jakoś motocykl do garażu, zamknął i podziękowawszy, wjechał windą na piąte piętro.

Niewątpliwie miał gorączkę, ale nie chciało mu się spać. Chodził po pokoju, gwizdząc i pogadując coś do siebie. Nastawił radio, potem zamknął, wyciągnął się na tapczanie, po chwili jednak coś go poderwało i zaczął znów krążyć nerwowo od ściany do drzwi, od drzwi do okna. Zdawało mu się, że ktoś do niego mówi: – Zapomniałeś kapelusza! – i odparł głośno temu komuś, że deszcz przecież nie pada. Potem zobaczył kolorową smugę, przesuwaną się od sufitu w dół do podłogi. W smudze tej coś grało.

– Jakie to śliczne! – zawołał, podchodząc bliżej, ale smuga już znikła. Pojawiły się natomiast niebieskie i zielone kółka tańczące pod sufitem.

Ostatnim wysiłkiem woli skupił rozbiegane myśli i podszedłszy do telefonu, nakręcił numer znajomego lekarza medycyny sądowej, doktora Sterna, który stale współpracował z Komendą Miasta.

– Proszę, tu Stern – usłyszał po chwili w słuchawce. Przełknął ślinę.

– Mówi... – urwał. Język mu się plątał. – Panie doktorze, coś się ze mną dzieje – powiedział z rozpaczą w głosie.

– To pan, kapitanie? – spytał lekarz zdziwiony. – Gdzie pan jest?
– Chyba w domu. Ja nie wiem. W pokoju są kolorowe..., a potem grają. Doktorze! – krzyknął, zaciskając palce na słuchawce.

– No w porządku. Zaraz tam przyjadę.

Zalał się? – myślał doktor Stern, wkładając płaszcz i szkocki beret. To było jednak zupełnie niepodobne do Białego Kapitana. Znał go od kilku lat i wiedział, że nigdy nie używa alkoholu. Więc chyba ma wysoką gorączkę. Ale przecież wczoraj wieczorem był jeszcze zupełnie zdrow. Pewnie grypa – skonstatował. Na wszelki wypadek włożył do teczki pudełko z motopiryną.

– Marysiu, wychodzę do chorego! – zawołał w stronę łazienki, z której dolatywało bełkotanie: grrr... Żona płukała gardło. – Może zostaną tam trochę dłużej – dodał uspokajająco.

*

Kapitan Szczęsny otworzył mu drzwi prawie natychmiast i doktor odniósł wrażenie, że czekał w przedpokoju na jego dzwonek.

– Dobrze, że pan jest – powiedział oficer z widocznym wysiłkiem. – Zupełnie nie rozumiem, co się stało.

Lekarz wszedł do pokoju, zrzucił płaszcz i ujął Szczęsnego za puls, przyglądając mu się badawczo.

– Proszę mi szczerze powiedzieć, to zostanie między nami: pił pan?

– Ależ nie! – wykrzyknął kapitan ze zniecierpliwieniem. – Już drugi myśli to samo.

– Tak? A kto był pierwszym?

– Ten tam... z Komendy Ruchu. Doktorze, ja się chyba czymś zatrąłem.

Opowiedział dokładnie, co odczuwał w czasie powrotnej jazdy do Warszawy i potem w mieszkaniu, nie wspominając jednak o wizycie w dziwnym domu.

Stern patrzył na jego twarz, słuchał i kiwał głową.

– Wie pan co, kapitanie? – rzekł wreszcie, zapalając papierosa. – Gdybym pana nie znał bliżej, powiedziałbym, że zażył pan jakiś narkotyk. Na przykład, któryś z alkaloidów pochodnych heterocyklicznego oksyaminokwasu... tak zwanych ekgonin. Mówiąc prościej, na przykład kokainę.

Było to tak absurdalne, że Szczęsny roześmiał się.

– A ponieważ pan mnie świetnie zna – odparł z odrobiną ironii – odrzucmy narkotyki i pomyślmy o czym innym. Może to skaleczenie ma coś wspólnego z moim stanem psychicznym?

Rozwiązał chusteczkę i pokazał zranioną dłoń. Doktor Stern obejrzał ją i wzruszył ramionami.

– Nie znam takich ran, które powodują euforię – oświadczył sucho.

– Euforię?

– No, a co pan myśli? Przecież to są – albo były, bo już, zdaje się, trochę panu przeszło – najklasyczniejsze objawy stanu upojenia narkotycznego, błogostanu czy jak pan tam chce. Rozszerzone źrenice, błądzenie twarzy, halucynacje wzrokowe i słuchowe, niepokój nerwowy, zawroty głowy i tak dalej. Pewnie nie odczuwa pan głodu ani senności, prawda?

– Prawda – przyznał Szczęsny. Twarz mu spochmurniała. Czyżby komendant posterunku w Jeziornie był narkomanem i niechętny uraczył go kokainą? Przypomniał sobie okrągłe, rumiane policzki podoficera, jego barczystą sylwetkę i rozsądny, spokojny sposób bycia... Nie, bzdura!

– Nigdy w to nie uwierzę – powiedział głośno.

– W co?

– Żeby komendant z Jeziorny zażywał kokainę. Bo u niego jadłem obiad i od tamtej pory nie miałem nic w ustach.

– A w nosie?

– Jak to: w nosie? Ach, prawda, kokainę się wacha – roześmiał się. – Nie, doktorze, przysięgam, że nie wachałem nic poza mgłą po drodze i wszystkimi normalnymi zapachami warszawskiej ulicy.

– Wobec tego musimy przypuszczać, że w jedzeniu było coś, co spowodowało objawy podobne do stanu euforii. Ale to jest... – zamyślił się. – Czy pan go naprawdę dobrze zna?

– Tego komendanta? Jak własną kieszeń. Niedawno odszedł od nas, z Komendy Miasta.

– Jak on się nazywa?

– Kaźmierczak. Wysoki, silny, rumiana twarz. Porządny chłop i dobry milicjant.

– Być może. Nie słyszałem o nim. Warto by się jutro przekonać, czy i u niego nie nastąpiły podobne objawy albo u kogoś z jego rodziny.

– Tak, naturalnie. Zadzwoń tam z samego rana.

– Dam panu teraz jakiś środek uspokajający i radzę od razu wleźć pod kołdrę, bo ma pan dreszcze. Proszę się napić gorącej herbaty.

– Kawy – poprawił go Szczęsny.

– Może być i kawa. Racja, że z pana taki kawiarz... Myślę, że jutro będzie już wszystko dobrze. Gdyby jednak objawy nie ustąpiły, niech pan do mnie rano zadzwoni.

*

Pięć minut po ósmej rano na posterunku MO w Jeziornie odezwał się telefon.

– Komendancie, Warszawa do was – powiedział dyżurny milicjant Pniewski.

– Halo! Melduje się starszy sierżant Kaźmierczak... tak jest, kapitanie... Czy co? – komendant wzruszył ramionami. – Zdrów jestem, wszystko w porządku... Czy spałem w nocy? Tak jest! – zasłonił ręką słuchawkę i szepnął do Pniewskiego: – Jak Boga kocham, zwariował! Pyta, czy jestem zdrów i czy spałem.

Milicjant zachichotał.

– A nie pyta z kim?

– Słucham, kapitanie? Tak... ależ to niemożliwe! – wykrzyknął. Twarz jego przybrała wyraz głębokiej urazy. – Nie, nikt z nas... ani żona, ani ja, przecież jedliśmy wszyscy to samo! Dobrze, zapytam żony, czy nie został jeszcze kawałek kielbasy.

Pniewski podniósł zdumione oczy.

– Struł się kielbasą? – zapytał. – Gdzieście ją kupowali?

– Koło torów, naprzeciw księgarni – mruknął Kaźmierczak. – Nie, to nie do was, kapitanie. A jak się teraz czujecie? Jeżeli znajdę ją jeszcze w domu, to przyślę przez kogoś... Tak jest, zbadamy wytwórnię. Ale zdaje się, że to z Warszawy... tak, chyba że sklep kupił gdzieś na lewo... Tak jest... odmeldowuję się.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Pniewskiego ze zdziwieniem.

– Widział to świat? Kapitan Szczęsny rozchorował się po moim obiedzie!

– Może ma słaby żołądek? – zauważył trzeci milicjant, z czarnym wąsikiem.

– On? On by strawił podeszwę od buta, gdyby ją zjadł przez omyłkę. Ma żelazny organizm.

– Takie chuchro? – Pniewski wzruszył pogardliwie ramionami.

– Chuchro! – Kaźmierczak aż podskoczył na krześle. – Widziałem, jak to „chuchro” rozbroiło trzech bandziorów, używając do tego tylko własnych mięśni. Leżałem wtedy przywiązany do nogi od stołu, zakneblowany i tylko oczy mi wyłaziły, jak patrzyłem na tę rozróbkę. A było na co patrzeć! – Pokiwał głową. – No i taki gość truje się u mnie w domu, moim obiadem. Niech to nagła krew...

Raptem poderwał się z miejsca.

– Pniewski, idźcie do tego sklepu. Spytajcie o kielbasę po czterdzieści trzy złote za kilo, pewnie jeszcze mają trochę z wczorajszego zapasu. Kupcie parę kawałków dziesięciodekowych, z różnych pęt. Tu są pieniądze. A ja skoczę do domu, może jeszcze co znajdę.

– Nie zjedliście na śniadanie? – wtrącił milicjant z wąsikiem.

Komendant przystanął w progu.

– Bodaj cię! – wykrzyknął. – Chyba zjadłem... Ale może nie wszystko. A ty się przyszykuj, pojedziesz do Warszawy. Chcą dać kielbasę do analizy.

– Tyle krzyku o kawałek ścierwa? To nie nasza sprawa. Od tego jest komisja sanitarna – mrucał Pniewski, sięgając po czapkę.

*

– No i co? – zapytał naczelnik wydziału kryminalistyki, major Daniłowicz, gdy Szczęsny odłożył słuchawkę.

– Nic. Zupełnie zdrow. Rodzina też. Nic z tego nie rozumiem.

– Nie wstępowałaś nigdzie po drodze?

Szczęsny zawahał się. Nie lubił mówić o rzeczach, których jeszcze nie zbadał. A sprawą tajemniczego domu postanowił bliżej się zainteresować. Nie miało jednak sensu kryć tego przed własnym szefem. Opowiedział więc o wypadku na drodze i o swoich przygodach we mgle. Major milczał i rozważał coś przez dłuższą chwilę.

– Masz jeszcze tę chusteczkę? – spytał wreszcie.

– Mam gdzieś w domu. Muszę ją dać do prania.

– A broń cię Boże! Przynies ją tutaj w takim stanie, w jakim zdjąłeś z ręki i daj do analizy.

– Myślisz, że... – Szczęsny umilkł zdumiony.

Daniłowicz wstał zza biurka i podszedł do szafy z książkami. Chwilę grzebał w nich, przekrzywiając głowę, aby odczytać tytuły na grzbietach, potem wyjął gruby tom w brązowej okładce. Była to „Farmakologia” doktora J. Supniewskiego.

– Popatrz – skinął na Szczęsnego – chodź no tutaj. Widzisz? – Powiódł palcem po kilku zadrukowanych wierszach i czytał głośno: – „Kokaina bardzo łatwo i szybko wchłania się z błon śluzowych nosa i – zaakcentował – z powierzchni ran. Zdrowa skóra jest dla niej nieprzenikliwa”.

Odłożył książkę i spojrzał na kapitana z uśmiechem.

– Daj chustkę do analizy. Przypuszczam, że znajdą na niej jeszcze ślady kokainowego pyłu. I zostaw w spokoju kielbasę z Jeziorny, a zajmij się swoim „domem we mgle”. Tak, mój drogi, tu jest pies pogrzebany. Natrafiłeś, zdaje się, na towarzystwo narkomanów. Trzeba się zainteresować, skąd biorą kokainę. Pewnie z przemytu.

– Ładna historia! – mruknął Szczęsny, patrząc nieufnie na świeżą bliznę na swojej dłoni. – Więc doktor Stern miał rację? A ja go o mało nie zwymyślałem.

– Bo masz paskudny charakter – stwierdził major, sadowiac się w fotelu. – Ponosi cię twój porywczy temperament. Pamiętasz, jak ci ten rzekomy inwalida poharatał żebra?

– Porywczy temperament... Nie, to nie to – odparł Szczęsny, chodząc po gabinecie swego szefa. – Mnie zawsze pasjonuje nierozwiązana zagadka, rozumiesz? I szlag mnie trafia, jak stoję wobec problemu, którego nie mogę rozwiązać. Wiesz – roześmiał się – gdybym nie pracował w milicji, rozwiązywałbym ciągle krzyżówki.

– Robisz to i tak.

– Robię. Bo muszę. Zagadka, tajemnica to dla mnie coś jak dla pijaka butelka wódki. A propos krzyżówek, czy nie wiesz, jak się nazywa stop cynku, miedzi i niklu?

– Nie wiem. Mosiądz? Nie, to bez niklu. Nie masz większych zmartwień? A ile liter?
– Sześć. Druga „l”. Przejrzałem całą „Technologię metali” i nie znalazłem... Alpaka! – krzyknął nagle. – Wszystko się zgadza. No, nareszcie mam spokój. Wracając do rzeczy: pojedę i obejrzę sobie ten domek za dnia. Oj, dam ja im za moje wczorajsze halucynacje!
Ktoś zapukał do drzwi, a usłyszawszy „proszę”, wszedł do gabinetu. Był to starszy, wąsaty celnik w zielonym mundurze.
– Czy można, panie majorze? Nie przeszkadzam? – pytał z uśmiechem, witając się z oficerami.
– Proszę bardzo, panie Wiktorze, dawnośmy się nie widzieli – Daniłowicz ścisnął mu serdecznie rękę. – Proszę, niech pan siada. Cóż tam słyhać w Gdyni? Kiedy pan przyjechał?
– Przedwczoraj. Mam tu kilka spraw służbowych do załatwienia, no i córkę chciałbym przy sposobności odwiedzić. Teraz jadę na Żoliborz, to wstąpiłem po drodze zobaczyć, co słyhać.
– Ano nic, po staremu. Roboty zawsze dużo. Przestępcy jakoś nie dają nam odpocząć. Nie ma tygodnia, żeby ktoś kogoś nie zarąbał, nie okradł, nie udusił czy nie oszukał.
– No cóż, Warszawa duże miasto, stolica, a w każdej stolicy dzieją się takie rzeczy. Zwiedziłem niejedną, to się napatrzyłem. Wykrywalność przestępstw podobno się zwiększyła, pisały gazety.
– Tak. Lepsze wyposażenie techniczne, wyższe kwalifikacje... to swoje robi.
– Panie Wiktorze – zaczął Szczęsny, który niecierpliwie krążył po pokoju – czy podczas rewizji celnych nie złapaliście ostatnio przemytu narkotyków?
Celnik skinął głową.
– Złapaliśmy. Na „Batorym”, czterokrotnie.
– Ktoś z załogi?
– Nie, na szczęście. Bardzo lubię i cenię załogę „Batorego” i raczej nie mamy z nimi kłopotu. W trzech przypadkach byli to pasażerowie-cudzoziemcy, w jednym – nasza rodaczka.
– Co przemycali? Kokainę?
– Różnie. Kokainę, kilka paczek psychedryny... zdaje się też, że dolamid czy dolantin, a może jedno i drugie.
– Dolamid? Co to jest?
– Nie znam dokładnie składu chemicznego, ale... zaraz, czy zna pan rozporządzenie ministra zdrowia z maja 1951 roku? Jest tam uzupełnienie styczniowej ustawy. Zalicza ono dodatkowo szereg substancji do środków odurzających, między innymi dolamid i dolantin.
– Ach tak, pamiętam. Zdaje się, że w tym rozporządzeniu znajduje się i psychedryna, metopon, tropakokaina... Trzeba będzie jeszcze raz to przestudiować.
– Znajdziesz w bibliotece na górze – wtrącił major.
– A co, czy mieliście tutaj... – zaczął celnik i urwał zażenowany.
Daniłowicz popatrzał na niego z żartobliwym wyrzutem.
– Tak, tak, panie Wiktorze – westchnął z udaną troską – gdyby pan nas nie porzucił w swoim czasie, może mielibyśmy sobie dziś niejedno do powiedzenia. Ale pan wybrał zielony mundur zamiast naszego. A nasze bardziej twarzowe!
– Przecież pan wie, majorze, że powróciłem tylko do swojego starego zawodu – odparł celnik. – Milicja wypożyczyła mnie sobie po wojnie. No i oddała.
– Czy przed wojną szmuglowano sporo narkotyków? – Myśli Szczęsnego wciąż krążyły dokoła jednego tematu.
– O tak. Pamiętam, że w latach 1930–1933 grasowało po całej Europie dwóch słynnych przemytników narkotyków, ojciec i syn. Diabli ich wiedzą, jakiej byli narodowości, a mieszkali stale w Turcji. Opowiadał mi jeden z celników austriackich, że tego ojca zatrzymali

raz na granicy szwajcarskiej, bo już mieli na niego oko. Znaleźli wtedy przy nim trzy albo cztery kilo kokainy.

– Gdzie on to chował?

– W pasie płóciennym na gołym ciele, znaczy się pod bielizną. I w walizce z podwójnym dnem. Rok przedtem przemycał heroinę do Egiptu, nigdy byście nie zgadli, w czym!

– Pod podeszwą buta?

– W skrzypcach?

– W wydrążonej lasce? – zgadywali bezskutecznie.

– Nie, nie i nie! – śmiał się celnik. – W wydrążonych... sedesach klozetowych i w odważnikach dziesiętnych. Potem przyłapali go w Wiedniu; miał tam takiego faceta, który pomógł mu przeszmuglować czterysta gramów heroiny w paczce z gazetami. Ale się wykręcili. A wreszcie powinęła mu się noga i dostaliśmy go tu, w Warszawie. Z Austrii sygnalizowano nam, że uciekł w trakcie toczącej się przeciw niemu sprawy o przemyt narkotyków. My też już go znaleźliśmy. Z widzenia. No więc dało się znać warszawskiej policji, że przejechał granicę. Obstawili go „aniołami stróżami” i kółko się zamknęło. Miał już wtedy mieszkanie, zdaje się, na Hożej czy Wilczej. W czasie rewizji znaleźli w szafie między koszulami kluczyki od safesu bankowego, a pod obrazem legitymację na ten safes. No i posadzili łobuza.

– A co było w safesie?

– Trzy kilo heroiny. Odrobinę za wiele jak na osobisty użytek. A znowuż, bodaj w 1932 roku, w Rybniku na Śląsku złapali całą szajkę handlarzy narkotykami i przemytników. Było ich dwunastu, jak zbójców. Pamiętam, że cztery lata przed wojną nastąpił w Polsce tak silny wzrost narkomanii, że minister sprawiedliwości, jak to on się nazywał? Czekaście...

Grabowski? Nie. Car? Albo Świętosławski?

– Michałowski – wtrącił Daniłowicz.

– Racja, Michałowski! Więc on wydał wtedy specjalne zarządzenie w sprawie ścigania przestępstw związanych z narkomanią.

Celnik mógł tak opowiadać godzinami i choć Szczęsny słuchał z ciekawością, Daniłowicz spojrział raz i drugi na zegarek, a w końcu wstał.

– Muszę jechać do Komendy Głównej – powiedział, zapinając pas.

– A to i ja uciekam! – poderwał się celnik.

Pożegnali się. Gdy był już w progu, zatrzymał się nagle i zawołał w stronę Szczęsnego:

– Co do tych spraw z narkotykami, to najwięcej powiedziałby panu kapitanowi taki warszawski adwokat, Leon Mayer. On przed wojną kilkakrotnie bronił w sądzie narkomanów i dobrze zna ich obyczaje. Nie widuję się z nim, ale słyszałem, że jest w Warszawie i ma swoją kancelarię.

Rozdział 2

Analiza chusteczki wykazała tak mikroskopijne ilości jakiegoś pyłu, że nie udało się stwierdzić jego pochodzenia. Mogła to być kokaina, mogło być jednak również coś innego. Natomiast kiełbasa z Jeziorny, którą przywiózł Szczęsnemu drwiąco uśmiechnięty Pniewski, została bez cienia wątpliwości uwolniona od wszelkich podejrzeń. Był to „czysty wieprz” – jak wyjaśnił później Pniewski swemu komendantowi – „z dodatkiem soli, pieprzu i odrobiny czosnku”.

– Dobrze – powiedział Biały Kapitan.

Uprał chusteczkę, wysuszył pod żelazkiem i wsunąwszy ją do kieszeni cywilnego ubrania, wszedł do tramwaju „33”, jadącego w stronę Wilanowa. W granatowym berecie i

żółtym szaliku w drobną kratkę, z rękami w kieszeniach ciemnego płaszcza, szczupły, niewysoki, o typowo warszawskim, trochę cwaniackim spojrzeniu czarnych oczu – wyglądał raczej na studenta niż na doświadczonego wygę Milicji Obywatelskiej.

Od pewnego czasu nie lubił chodzić w mundurze. Mundur utrudniał obserwację i ściągał na siebie już z daleka uwagę wszystkich, którzy mieli nieczyste sumienie. Toteż rzadko go wkładał, chyba że w komendzie wypadła jakaś ważna odprawa lub wzywano go na konferencję do ministerstwa.

Wysiadł na przystanku niedaleko Sadyby i wolnym, spacerowym krokiem, gwizdząc „Most na rzece Kwai”, szedł w stronę osiedla domków jednorodzinnych. Dzień był pogodny, prawdziwie wiosenny i cała okolica wyglądała zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Mało znał te strony; rzadko zaglądał tu służbowo, a jego prywatni znajomi mieszkali w innych dzielnicach Warszawy.

Domków było dwanaście, podobnych do siebie jak krople wody. Wszystkie pomalowane na jasny kolor, wszystkie jednakowej wielkości, z ogródkami za siatkowym ogrodzeniem i z furtką na wprost drzwi wejściowych, do których wchodziło się po dwóch schodkach.

Szczęśny przeszedł powoli drogą wiodącą wzdłuż domków – najpierw w jedną stronę, potem w drugą, potem jeszcze raz i przystanął zdezorientowany. Zdawało mu się przez chwilę, że znów ma jakieś halucynacje i widzi dwunastokrotnie.

Sytuacja nie była prosta. Trudno przecież chodzić od domu do domu i szukać starej gospodyni z przygarbionym panem albo miłosiernej właścicielki chusteczki.

– Króliki! – mruknął do siebie.

To był jeden punkt zaczepienia. Chyba nie wszyscy mieszkańcy hodują tutaj króliki. Drugą wskazówką mogła być studnia, która – według określenia gospodyni – znajdowała się „o dwa domy dalej, w lewo”. A wreszcie wiedział, że właściciel jest inżynierem.

– Czy pan kogoś szuka? – usłyszał nagle męski głos.

Z okna najbliższego domku przyglądał mu się ciekawie starszy pan w małej wełnianej czapeczce na samym czubku łysej głowy.

Szczęśny podszedł do ogrodzenia.

– Tak – powiedział – w jednym z tych domów zostawiłem kapelusz i nie mogę teraz rozpoznać, w którym. Wie pan, są tak bardzo do siebie podobne... Państwo domu to znajomi mego znajomego, ale byłem wczoraj trochę pod gazem i nie pamiętam, jak się nazywają. Taka głupia historia! – uśmiechnął się rozbijając. Liczył na przysłowiową na całym świecie wyrozumiałość wobec alkoholików.

Pan w czapeczce współczująco pokiwał głową.

– Zdarza się, naturalnie – odparł z ożywieniem. – Ale ja znam całe osiedle jak własną kieszeń. Czy nie pamięta pan żadnych bliższych szczegółów? Może mają pluszowe firanki albo syjamskiego kota?

– Chyba nie. Ale hodują króliki.

– O, króliki? – twarz mu się wydłużyła. – Króliki są w każdym z dwunastu domów.

Wszyscy tu bardzo lubią potrawkę z ryżem.

– Pamiętam, że właściciel jest inżynierem.

Brwi łysego pana uniosły się w górę ze zdziwieniem.

– To pan nie wiedział, że to jest kolonia samych inżynierów?

– Dwa domy dalej w lewo jest studnia – był to już ostatni atut Szczęsnego.

– Studnia? Czeka pan, zaraz... aha, już wiem. Studnia jest tylko w jednym domu, o, w tym, niech pan spojrzysz! – to mówiąc, pan w czapeczce wychylił się tak bardzo, że o mało nie wypadł z okna. – Widzi pan rower w ogródku? To tam.

Szczęśny spojrział w kierunku, w którym wskazywał gruby palec.

– A dwa domy w lewo od tego domu – ciągnął dalej właściciel palca – mieszka... ale w lewo do Sadyby czy w lewo do szosy?

– W to lewo, które jest lewem dla mieszkańców domu – powiedział Szczęśny niezbyt gramatycznie, lecz dość zrozumiale.

– Aha... – łysy pan zamyślił się. – Więc gdyby tak na przykład dla mnie, to w lewo byłoby tam! – pokazał ręką. – W takim razie był pan wczoraj u inżyniera Rowińskiego – rzekł triumfująco. – Ja tu wszystkich znam. Jestem na emeryturze i tak sobie obserwuję, co kto robi. Inżynier Rowiński mieszka z siostrą, panią Jolantą Walden, i z piekielnicą.

– Z kim? – spytał Szczęśny zdumiony.

– Z piekielnicą. Ja ją tak nazywam. Taka stara gospodyni. Nie ma tygodnia, żeby komuś nie zrobiła awantury. Całe osiedle jej się boi. Inżyniera pan teraz nie zastanie, bo pracuje gdzieś w śródmieściu. A pani Walden będzie chyba w domu. Bardzo nieszczęśliwa kobieta.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ale ma taką twarz, jakby była bardzo nieszczęśliwa. Rok temu rozeszła się z mężem i teraz widuję ją czasami z takim wysokim, barczystym dryblasem. Może to ją tak martwi.

Szczęśny nie zrozumiał wprawdzie, czy panią Jolantę martwi rozwód czy znajomość z dryblasem; niemniej wiedział już, że jest na dobrej drodze. Gadatliwy pan okazał się cennym źródłem informacji; niebezpiecznie jednak było ciągnąć go dłużej za język.

– A ten znajomy – powiedział nagle łysy emeryt – nie mógł pan po prostu do niego zadzwonić i zapytać, gdzie to było?

– On nie ma telefonu, a mieszka – Szczęśny zawahał się, żeby wybrać najdalszą dzielnicę – na Służewcu. Strasznie daleko.

– Na Służewcu? – rozpromienił się łysy – może w tych nowych blokach? Znam tam wszystkich mieszkańców. Co on robi?

– Układa dachówki na kościołach – odparł Szczęśny z bezwstydnym łgarstwem.

– Dlaczego tylko na kościołach? – zdziwił się pan w czapeczce.

– Bo jego dziadek był organistą. Ale ja już muszę iść.

– Ja go na pewno znam – powiedział łysy bardzo stanowczo.

– Chyba nie. On jeszcze przed tygodniem mieszkał na Targówku. Do widzenia panu! – rzucił Szczęśny i odszedł spiesźnie. Obawiał się, że tamten zna nie tylko mieszkańców Targówka, ale i całej Warszawy.

*

Tym razem zadzwonił od razu do frontowych drzwi, na których błyszczała żółta, metalowa tabliczka z napisem „Inż. Andrzej Rowiński”.

Po dłuższej chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich czarnowłosa, szczupła kobieta o tragicznych oczach. Łysy pan miał rację; pani Jolanta wyglądała na nieszczęśliwą. Wyglądała jednak przede wszystkim na bardzo chorą i Szczęśny pomyślał przelotnie, że gdyby mógł, wyprawiliby ją natychmiast do szpitala.

– Dzień dobry pani – ukłonił się z uśmiechem – Przyszedłem, żeby zwrócić chusteczkę. To mówiąc, wyjął z kieszeni biały, równo złożony kwadracik batystu.

– Mój Boże, taki drobiazg... Trzeba było ją po prostu wyrzucić, a pan nawet dał do prania – mówiła z zażenowaniem. – Proszę, może pan pozwoli na chwilę do mieszkania. Jeszcze nieposprzątane, ale gosposia pojechała do miasta, a ja się trochę źle czuję i leżałam. Proszę, tu jest wieszak.

Rozpiął guziki palta i nagle znieruchomiał. Czy pistolet jest w kieszeni płaszcza czy spodni? A jeżeli w płaszczu, to jak teraz przełożyć? Szybkim, nieznacznym ruchem rąk

obmacał płaszcz i odetchnął z ulgą. Niezawodny, mały ale celny pistolet owa tkwił głęboko w prawej kieszeni spodni.

Jolanta wprowadziła go do tego samego pokoju, w którym wczoraj zobaczył ją po raz pierwszy.

– Jak z pana ręką, czy już dobrze? – zapytała tonem, jakim mówi się o pogodzie albo pyta, co słyhać. Pod maską uprzejmości dobrej gospodyni ukrywała widocznie zły stan zdrowia albo też coś, co ją gnębiło.

Szczęśny usiadł we wskazanym mu fotelu. I nagle, pod wpływem jednego ze swych impulsywnych postanowień, które rzadko kiedy sprawiały mu zawód, pochylił się do przodu, splótł ręce na kolanach i powiedział, patrząc na nią prosząco:

– Proszę pani, ja tu przyszedłem nie tylko po to, aby odnieść chusteczkę. Chcę, żeby pani mi pomogła.

– Ja, panu? – spytała zdziwiona. – W czym?

– Już pani to zrobiła wczoraj. Ale to było raz, a mnie trzeba więcej.

– Nie rozumiem. Znów się pan skaleczył?

– Ach, nie! Ja nie o tym. Pani mi pomogła, dając właśnie taką chusteczkę.

– Jaką? Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi.

Zdziwienie jej nie było chyba udane. Kapitan ściągnął brwi. Czyżby zrobiła to nieświadomie?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI